

GUKPPIW wobec powieści *Zwierzoczkoupiór**

Informacja Departamentu Publikacji Nieperiodycznych GUKPPIW o ingerencjach w pierwszym wydaniu „Zwierzoczkoupiora”.

AAN, GUKPPIW, sygn. 837, k. 16–23: „Informacje Departamentu Publikacji Nieperiodycznych” 1969, z. 1, s. 14–21 (maszynopis oraz „szczotki”).

Tadeusz Konwicki - "Zwierzoczkoupiór"

Jest to druga po "Wniebowstąpieniu" książka T. Konwickiego o realiach warszawskich. Można w niej odnaleźć istniejące ulice, place, zaułki. Opisuje autor różne środowiska, a między innymi filmowców [,] warszawskich "gwiazdorów".

Przy wszystkich konkretach nie jest ona jednak opisem Warszawy, ani powieścią o ludziach i atmosferze miasta.

Fabularna powieść oparta jest na półrzeczywistych majakach człowieka nieuleczalnie chorego, przebywającego w szpitalu. Żeby było dziwniej, bohaterem jest poeta - mędrzec, udający dziecko. Stan ciągłych skoków gorączkowych odbiera bohaterowi świadomość własnego bytu i dlatego rzeczywistość i senne majaczenia splatają się w niepodzielną całość. Są to majaki chłopca o imieniu Troip /czytaj: odwrotnie Piotr/ [sic!], który wyrastał na wileńskich "kresach", zestawione z losami współczesnego warszawiaka.

Jest to książka "z kluczem". Podkreślała to pierwsza wersja noty od wydawcy, wskazująca na to, iż jest to "pozornie młodzieżowa opowieść o przygodach, które się wydarzają i które się sną kilkunastoletniemu chłopcu, pobbżliwie zezwalającemu uważać się za mniej dojrzałego od swego otoczenia".

Uważaliśmy, że chociaż istnieje pewne ryzyko przy tego typu książkach, to można zezwolić na druk po ingerencjach. Cenzorzy, którzy czytali książkę, stwierdzali w swoich wnioskach recenzyjnych, że nie ma podstaw do zdyskwalifikowania książki.

Dokonano więc licznych ingerencji idących w kierunku eliminacji zbyt przejrzystych aluzji, dotyczących współczesnej Polski oraz stwierdzeń z końcowych partii książki, mających istotne znaczenie dla rysunku naszej rzeczywistości.

Usunięto na przykład cały tekst bajki - który załączamy - o fartolu [,] czyli o zwycięstwie cwaniactwa i karierowiczostwa, nielojalności i oportunisty.

* Do druku przygotował Piotr Perkowski przy współpracy Przemysława Kanieckiego.

Wydawnictwo zostało zobowiązane do zmiany noty redakcyjnej, w której starało się podkreślać, że jest to powieść z kluczem, a pozornie tylko młodzieżowa, czym usiłowało nakierować uwagę czytelnika na zawoalowany obraz rzeczywistości.

Podobne tendencje należy ingerować we wszelkich notach sygnałnych bądź w recenzjach omawiających książkę.

Omówione wyżej teksty: bajka o fartolu, która została wyingerowana[,] oraz teksty notki na skrzydełka /zakwestionowany oraz drugi - zatwierdzony do druku/, podajemy niżej:

Ciekaw jestem, czy lubicie bajki? Bo ja nie bardzo. Bajki budzą nadzieje, które nigdy się nie spełniają. Coś tam niby obiecują słuchaczowi, co się nigdy nie sprawdza. Wolę już tę zwykłą, życiową, nawet szarą prawdę, bardziej ją lubię niż wspaniałe bajki. Ale jedną jedyną, na zasadzie wyjątkowego wyjątku, muszę wam opowiedzieć. Będzie to bajka o fartolu.

W pewnym mieście, zupełnie nieważne w którym, żył chłopiec imieniem Jasio. Żył i pędził szczęśliwe dzieciństwo jedynaka pod opieką kochających go rodziców. Miał swój własny pokój wypełniony rozumnymi zabawkami, wielkie półki uginały się pod ciężarem uczonych książek przeznaczonych dla poważnej młodzieży. Rodzice pragnęli, żeby wyrósł na zupełnie wyjątkowego człowieka, więc Jasio bawił się zawsze sam w domu i bawił się pożytecznie przy pomocy rozumnych zabawek i uczonych książek. Najpierw chciał zostać konduktorem autobusowym, więc rodzice, pobłażliwi dla jego zachcianek, kupili mu czapę, dziurkacz do biletów i wielką torbę. Jasio całe dni sprzedawał na niby bilety oraz anonsował przystanki. I rodzice mówili, oto jakie praktyczne skłonności, praktyczne, skromne i rzeczowe. Później Jasiowi znudziło się to konduktorowanie. Zaczął bawić się w dyrektora. Rozsądny ojciec kupił mu zaraz przeróżne segregatory, terminarze, a oprócz tego prawdziwy telefon do rozmów wewnątrzdomowych. Jasio pisywał o[k]ólniki, wydawał polecenia, konferował przez telefon. I rodzice cieszyli się, że w synu budzą się wyższe ambicje, że wyraża się w tajniki rządzenia ludźmi. Niech będzie dobrym, sprawiedliwym dyrektorem, mówili, to zupełnie wystarczy. Ale po pewnym czasie Jasio przestał rubrykować specjalne bruliony, zaczął śpiewać, uczyć się znaków nutowych, brzdąkać na pianinie, którego nikt już nie używał od kilku lat. Jednym słowem, Jasio bawił się teraz w kompozytora. Cały dom nucił jego melodie, goście z przejęciem słuchali kompozycji fortepianowych, w końcu występował nawet w szkole, a kiedyś to nawet podczas jakiejś akademii. I promienieli dumą szczęśliwi rodzice, i mówili kiwając dobitnie głowami, wreszcie odnalazł siebie, wreszcie obudziło się powołanie. Nich będzie uczciwym artystą.

Czasem do Jasia przychodził jego rówieśnik, Karolek. Rodzice odnosili się do Karolka życzliwie, bo przy Karolku syn ich lepiej jadł. Więc Karolek razem z Jasiem bawił się najpierw w konduktora, potem w zwierzchnika, a na końcu w artystę. Ale bawił się jakoś czujnie, w napięciu, nie popełniał omyłek i tylko dziwnie się uśmiechał. Czasem trochę otwierał usta, jakby chciał coś ważnego powiedzieć albo przestrzec czy pouczyć. Lecz w końcu zamykał te usta i nic nie mówił. I wszyscy go chwalili, że taki grzeczny, ustępliwy, dalekowzroczny.

Nie będę wam wszystkiego opowiadał, bo to nudne. Jasio w końcu wyrósł, stał się poważnym panem i zaczął uprawiać zawód artysty. Nawet mu się jakby trochę powodziło, ale nigdy do końca. Już ten sukces niby się zaczynał, już zdawało się, że wybuchnie płomieniem, ale jakoś gasł ni z tego, ni z owego i Jasio

musiał zaczynać od nowa. Za każdym razem pełen ufności, lojalny wobec kolegów, usłużny, rycerski, wystrzegający się zawiści oraz intryg. Chętnie ustępował miejsca słabszym, gorliwie wychwalał konkurentów, pomagał szlachetnie rywalom. I jakoś tak powolutku zaczął tracić swoje terminy w salach koncertowych, wypadać z planów domów wydawniczych drukujących nuty, a nawet dyrygenci przestali wypytywać, czy komponuje coś nowego. Z biegiem czasu koledzy przestali go lubić i szanować, a niektórzy udawali nawet, że go nie poznają. Więc Jasio postanowił czekać cierpliwie na zwycięstwo swojej prawdziwej sztuki. Cekał bardzo długo i pewnie by czekał do dzisiaj, ale zwykły niedostatek zmusił go do szukania nowego zajęcia.

I zdarzyło się, że został dyrektorem. Wziął się więc z zapałem do roboty. Zaczął przeprowadzać różne potrzebne zmiany w swojej instytucji, usiłował również poprawić sytuację pracowników. Ale znowuż jakoś się pokiełbasiło i wszystko spelzło na niczym. Zwierzchnicy oskarżyli go o różne przestępstwa, pracownicy wcale się za nim nie ujeli, bo mieli również wiele zastrzeżeń. Więc znalazł się znowu na bruku i zupełnie nie rozumiał, dlaczego tak się stało.

Ponieważ jednak trzeba z czegoś żyć, wystarał się o pracę konduktora autobusowego. Dziurkował bilety, zapowiadał przystanki, bardzo często pomagał wsiadać i wysiadać niedołącznym starcom lub dzieciom w wieku przedszkolnym. Wykonywał te niezbyt ambitne czynności wyjątkowo starannie i nawet z pewnym zapałem. Czasem tylko widząc roztargnione dziecko, które zapomniało poprosić drobnych u mamy, albo ubogiego staruszka, pozwalał im przejechać darmo jeden albo dwa przystanki. Pewnego razu taką babcię bez biletu zatrzymał kontroler. Ja zapłaciłam, powiedziała staruszka, ludzie widzieli, ale pan konduktor biletu nie wydał. A ja jestem stara, słaba, co ja mogę?

Więc wyrzucono Jasia, a właściwie już Janę, i z tej posady, posady konduktora autobusowego. Teraz Jan zniechęcił się już ostatecznie. Przestał zabiegać o pracę, jał żyć z dnia na dzień, tułać się bez celu po tej resztkę życia, która mu została. Wylegiwał się na słonecznych miejscach pod ścianami, zjadał przeróżne, często obrzydliwe odpadki, bezwstydnie dopijał w barach cudze piwo. Jego nowi kompani, tacy sami bezdomni włóczędzy, usiłowali objaśnić mu jego życie. Za dużo miałeś zdolności, powiadali jedni. Tacy bardzo zdolni giną od razu na początku. Talent rozbraja, nie daje odporności, talent, bracie, rozpieszcza. Nie, to nie to, mówili inni. Najgorsza rzecz być jedynakiem. Jedynak nie ma przyszłości, musi pójść na dno. Czasem ktoś odzywał się z zadumą, pewnie zaczynałeś interesy w zły dzień, w piątki lub środy, w takie dni, co nie dzielą się przez trzy albo na psa urok, tfu, tfu, w ogóle trzynastego.

Pewnego razu, kiedy Jan, czyli dawniej Jasio, siedział sobie na krawężniku przed jakimś gmachem, zajechała wspaniała limuzyna obryzgując siedzącego troszczechką błota. Z tej limuzyny wydobył się wspaniały pan we wspaniałym cylindrze i jał wspaniale stapać w stronę gmachu. Wtedy Jan zerwał się z chodnika i zabiegł drogę panu w cylindrze. Uczynił to instynktownie, wiedziony jakimś nakazem albo może przecuciem. Więc zabiegł tak raptownie drogę i stał teraz odrobinę przestraszony, nie wiedząc, co dalej uczynić. Pan w cylindrze podniósł brwi i chciał ominąć natręta. Karolku, nie poznajesz, szepnął cicho Jan. Pan w cylindrze podniósł brwi jeszcze wyżej, opuścił je nisko i znowu podniósł. To chyba pomyłka. Bardzo przepraszam. Nie. Nie pomyłka. Pamiętasz nasze sznycelki z groszkiem. Pamiętasz zabawy w konduktora, w zwierzchnika i w artystę. Nie wiadomo dlaczego pan w cylindrze, czyli dawniej Karolek, zmieształ się trochę, spojrzął lekliwie w lewo, w prawo. Któż nie pamięta szczęśliwe-

go dzieciństwa. Ale mnie się bardzo spieszy, powiedział szybko. Nie bój się Karolku, niczego od ciebie nie chcę. W ogóle niczego już nie chcę. Powiedz mi tylko, jakim sposobem wspiąłeś się tak wysoko. To wszystko, o co cię proszę. Pan w cylindrze uśmiechnął się odrobinę spokojniej. Trzeba mieć trochę fartolu. Fartol w życiu to najważniejsza rzecz. A co to jest ten fartol, spytał Jan. Pan w cylindrze uśmiechnął się jak kiedyś w dzieciństwie, tym swoim dziwnym uśmiechem. Fartol to jest takie nowe szczęście. Zupełnie inne niż dawniej. Czy czegoś jeszcze potrzebujesz? Nie, dziękuję, to wszystko, odparł Jan i zamyślił się głęboko, odprowadzając wzrokiem pana w cylindrze, dawnego Karolka.

Bo zrozumiał, że fartol to takie szczęście aktywne, czyli czynne. Że szczęściu trzeba wychodzić naprzeciw, że trzeba zabiegać koło szczęścia, że trzeba szczęściu pomagać. I wtedy każdemu trafi się w życiu trochę fartolu.

Znaleźliśmy się w wodzie po piersi. W wodzie lodowato zimnej, cuchnącej kwaśnością i alkoholem. Było zupełnie ciemno, dopiero po chwili usłyszałem zgrzytanie dynama Ewy. Powolutku zaczęły się objawiać zarysy wielkiej zamkowej piwnicy ze szkieletami starych szpitalnych łóżek. Powierzchnia wody błysnęła dziesiątkiem małych świderkowatych wirów. Gdzieś za ścianą piszczały straszliwie jaskółki.

– Och Piotr, Piotr! – krzyknęła Ewa.

Usłyszałem gwałtowny bełkot wody i latarka zgasła. To Ewa brnęła rozpaczliwie w moją stronę. Poczułem raptem jej zimne, oślizłe ręce na mojej głowie, na mojej twarzy.

– Jak to dobrze - szlochała. – Jak to dobrze, że jesteś z nami.

Tekst na skrzydełko obwoluty powieści T. Konwickiego pt. "Zwierzoczekoupiór"

Pierwsza wersja

"Narratorem nowej powieści Tadeusza Konwickiego pt. "Zwierzoczekoupiór" jest poeta i mędrzec w kostiumie dziecka. Ta pozornie "młodzieżowa" opowieść o przygodach, które się wydarzają i które się sną kilkunastoletniemu chłopcu, pobłażliwie zezwalającemu uważać się za mniej dojrzałego od swego otoczenia, to w istocie przepiękna, poetycka baśń o nieprzebranych zasobach liryzmu, humoru i zarazem trafnej psychologicznej intuicji, z jaką autor kreuje osobliwą postać narratora i czyni jego opowieść małym zwierciadłem paradoksów współczesnego świata. Wartka akcja, humor i wdzięk utworu sprawiają, że książkę tę czyta się z nieskłonącym zainteresowaniem od pierwszej do ostatniej stronicy."

Druga wersja - poprawiona

"Nowy utwór Tadeusz Konwickiego "Zwierzoczekoupiór" to opowieść o przygodach, które się wydarzają i sną kilkunastoletniemu chłopcu o bujnej wyobraźni, to piękna poetycka baśń o nieprzebranych zasobach liryzmu, humoru i czaru. Wartka akcja i wdzięk powieści sprawiają, że książkę będą czytali z nieskłonącym zainteresowaniem zarówno dzieci i młodzież, jak i ludzie dorośli."